



ATSAM

TOM II

MONOMU

## Rozdział 1

Pogoda wyjątkowo dzisiaj dopisała. Było przyjemnie ciepło i wreszcie przestał padać deszcz. Josh i Mira wykorzystali okazję i przenieśli się z codziennymi lekcjami na przestronny balkon. Siedzieli przy stoliku zawałonym książkami do nauki angielskiego i popijali kakao.

– Dalej nie łapię, kiedy mam użyć „Going to”, a kiedy „Present Continuous” do wyrażania przyszłości – poskarżyła się dziewczynka i wydeła usta, spoglądając na zadanie z podręcznika, nad którym teraz pracowali.

Dobrze mówiła po angielsku, ale dotąd uczyła się głównie przez oglądanie telewizji i gry. Czasów i form używała instynktownie, nie znając ich teoretycznych podstaw. Josh pomagał jej w nauce na polecenie Dacnisa, chociaż sam nie należał nigdy do orłów w żadnej dziedzinie, nie tylko w angielskim. Ojciec Miry uznał jednak, że samo to, iż był to jego ojczysty język, wystarczy. Albo po prostu dał Joshowi jakiegokolwiek zajęcie, gdy pozwolił mu tu zamieszkać po tym, jak Mnich i kobiety zginęły, a chłopak znów został sam.

Gdy właśnie miał odpowiedzieć dziewczynce, na balkon wszedł Dacnis, a za nim ktoś, przez kogo serce Josha przestało na moment bić. Przez tę krótką chwilę myślał, że właśnie zobaczył Jacka. Za Dacnisem bowiem podążał wysoki, biały mężczyzna o zielonych oczach i blond włosach zaplecionych w kucyk.

Josh skarcił siebie w myślach. To nie mógłby być Jack. Nie było takiej możliwości, aby przekroczył próg domu Dacnisa żywy. Josh przyjrzał się dokładniej mężczyźnie. Tylko na pierwszy rzut oka przypominał Jacka. Po trochę dłuższym przyjrzeniu prezentował się już tylko jako marna podróbka Hetfielda. Jego włosy były jedynie farbowane na blond, a policzki, których kości nie były tak dobrze ukształtowane jak u Jacka, pokrywał kilkudniowy, niezadbany zarost. No i Jack nigdy nie ubrałby tak niegustownej, hawajskiej koszuli w kwiaty.

Jednak tym, co odróżniało ich najbardziej, było spojrzenie. Kolor oczu rzeczywiście mieli identyczny i była z nich podobna buta, ale Josh widział we wzroku tego mężczyzny kłamstwo. Za pierwszą warstwą kryła się jeszcze druga. Strach. Jack się nie bał.

– *Papa!* – ucieszyła się dziewczynka i natychmiast podbiegła do ojca, prawie się na niego rzucając.

Ten poklepał ją po głowie i pogładził po policzku z łagodnym uśmiechem. Gdyby nie liczne tatuaże, które miał nawet na twarzy, mógł teraz uchodzić za przykładowego ojca i członka społeczeństwa, a nie gangstera, który twardą ręką rządził całą fawelą.

– *Byłaś dzisiaj grzeczna?* – spytał swoim zachrypniętym od ciągłego palenia zioła, ale przyjemnym głosem. – *Czy może sprawiałaś Joshowi problemy?*

– *Byłam grzeczna! A Josh jest moim przyjacielem! Nie jest takim gburem jak Falco!*

Mężczyzna uśmiechnął się rozbawiony tym komentarzem.

– *No już dobrze. Skoro byłaś grzeczna, to możesz zabrać Josha na dół, aby obejrzeć prezent, który tam na ciebie czeka.*

Dziewczynka zapiszczała i klasnęła w dłonie. Podbiegła do Josha, by chwycić go za rękaw i pociągnąć za sobą. Gdy mijali Dacnisa i nieznanego mężczyznę, chłopak rzucił temu drugiemu jeszcze przelotne spojrzenie. Nie wiedział, kim jest, ani po co tu przyszedł, ale jego pojawienie się budziło w Joshu złe przeczucia.

Gdy zostali sami na balkonie, Dacnis oparł się o barierkę i spojrzał na morze krzywych domów, czy bardziej bud skleconych z byle czego, które rozciągało się poniżej. Wiatr poruszał lekko jego krótkimi dreadami, które pofarbowane były teraz na czarno z czerwonymi końcówkami. Jeszcze niedawno były fioletowe. Na szczupłe ramiona zarzuconą miał kolejną z fantastycznych koszul w pastelowych kolorach. Ta była łososiowa, a przyozdabiały ją liczne, nadrukowane głowy królików, które były logiem Playboya.

– Kto by pomyślał, że wrócisz tak szybko, Johnny? – rzucił do mężczyzny stojącego obok. Zaraz dodał ironicznie: – Falco się ucieszy.

– Aż się nie mogę doczekać – mruknął w odpowiedzi Johnny.

Jeszcze tego mu brakowało do tego wszystkiego. Nie miał teraz siły myśleć o niczym. Czuł się jak śmieć. Był wykończony. Falco i jego niezrównoważenie psychiczne były teraz jego najmniejszym problemem.

– Wiesz, że zawsze jesteś u mnie mile widziany – kontynuował Dacnis – ale z tego, co mi powiedziałeś, sytuacja się zmieniła. Wiesz, że do końca życia będę ci wdzięczny i obronię cię, ale ten twój Ahiga to nie jest jakaś tam płotka. Wypadałoby, abyś...

– Abyś znów zasłużył na twoją wdzięczność? – domyślił się Johnny. Dokładnie tego się spodziewał, przychodząc w to miejsce. Tutaj niczego nie można było dostać za darmo. – Co to ma być?

Dacnis spojrzał w dół, na mały, wybetonowany plac przed domem, gdzie Mira właśnie głaskała po pysku swojego nowego kucyka. Kilka kroków za nią stał chłopak, którego rude, błyszczące w południowym świetle włosy zaplecione były w gruby warkocz.

– Jack Hetfield – powiedział.

Johnny zmarszczył brwi, szukając kogoś takiego w pamięci.

– Nie słyszałem o nim – odparł jednak po chwili.

– To nowy nabytek Barbosy – wytłumaczył Dacnis. – Irytujący, bo inteligentny. Barbosa najwyraźniej słucha jego rad, bo nagle zaczął przewidywać nasze ruchy. Musi zniknąć, zanim bardziej nam nabruździ.

– Zwykle Falco zajmował się takimi sprawami – zauważył Johnny.

Dacnis zaśmiał się gardłowo.

– Powiedzmy, że mamy trudne dni – skomentował rozbawiony. – Nie pali się do roboty. Wolę go teraz bardziej nie irytować.

Johnny podążył za jego spojrzeniem, które znów padło na tego piegowatego chłopaka. No tak, pomyślał. Falco nie mógł być zadowolony z jego obecności przy Dacnisie. *Biały szczur*, na Johnny'ego też tak zwykł wołać.

– A dzieciak? – spytał. – Co to za jeden?

– Nie musisz zawracać sobie tym głowy – odparł przywódca gangu. – Ale jemu też ulży, jeśli Jack Hetfield zniknie. Chociaż pewnie będzie mnie za to nienawidził do końca życia.

W tym momencie na balkon wszedł trzeci mężczyzna. Był to Falco, prawa ręka Dacnisa. Jego najwierniejszy, a zarazem najbardziej wściekły z psów.

– *Co on tu robi?* – spytał, obrzucając pogardliwym spojrzeniem swoich oczu żółtych niemal jak u kota Johnny’ego. – *Kolejny szczur. Masz jakieś dziwne, nowe hobby - zbieranie ścierwa z ulicy?*

Dacnis spojrział na niego, unosząc brew. Westchnął cicho.

– *Znowu nie poruchałeś?* – zapytał, dobrze wiedząc, że tylko go tym bardziej rozjuszy.

Falco patrzył na niego przez chwilę w milczeniu, by w końcu głośno sapnąć przez nos.

– *A pierdolę to!* – syknął i wyszedł, przedtem ostentacyjnie plując na podłogę balkonu.

Dacnis uśmiechnął się do siebie, odprowadzając go spojrzeniem swoich wąskich, czarnych oczu, po czym wrócił do oglądania tego, co dzieje się na plac u dołu. Mira właśnie usiłowała nakłonić Josha, aby też pogłaskał kucyka, ale chłopak niezbyt się do tego palił. Dacnis skomentował to lekkim uśmiechem.

– Jemu kiedyś ta żyła strzeli – powiedział Johnny – i wtedy przerucha, ale ciebie.

Dacnis zachichotał i wyciągnął z kieszeni swojej różowej koszuli dwa skręty. Jeden podał Nortonowi.

– Wiem – odparł, zapalając swojego – a on wie, że to będzie nasz pierwszy i ostatni raz. Bo równałoby się to z tym, że przestałby mnie szanować. I cała reszta też. Takie tu panują zasady. W tym piekle, w którym ja zasiadam na tronie. Tak już po prostu tu jest.

Wydmuchał smugę białego dymu i objął jeszcze raz wzrokiem dzielnicę nędzy rozciągającą się na wzgórzach Rio de Janeiro.

– Popatrz, jaki ten świat dziwny – powiedział, podając zapalniczkę Johnny’emu. – Niby ja tu jestem królem, a nawet nie mogę się pieprzyć, z kim mi się podoba.

– Ty to masz problemy – skomentował blondyn, przewracając oczami i zapalił ogień.

Przymknął na chwilę powieki, rozkoszując się ciepłem słońca i kojącym dymem, który wciągnął do płuc. Oczywiście wyrzucił stary telefon i wszystkie inne

elektroniczne urządzenia, przez które mógłby zostać namierzony. Miał już jednak nową komórkę, a w niej zasięg. Do tej pory nie sprawdził jednak portali informacyjnych ze swojego rodzinnego miasta.

Oni wszyscy mogli już nie żyć. Ryan, ta jego pyskata koleżanka i ten wielki Indianiec. Matka, ojciec i bratowa. Wszyscy mogli nie żyć, a on stał na balkonie w Rio de Janeiro i palił skręta.

\*\*\*

Raphael wciąż jeszcze nie doszedł całkiem do siebie. Nadal był osłabiony. Lotu samolotem w ogóle nie pamiętał. Przespał cały, jeśli można to było nazwać snem. Po prostu urwał mu się film. Teraz był tutaj. W Rio de Janeiro, w pokoju na najwyższym piętrze luksusowego hotelu. Z balkonu mógł zobaczyć panoramę miasta – morze drapaczy chmur wypierające dżunglę, złote plaże i błękitny ocean, a dalej dzielnice nędzy.

Na balkonie spędził tylko krótką chwilę. Nie miał humoru na podziwianie widoków. Nie miał humoru na nic, nawet na życie. Rzucił się na przestronne łóżko. Padł na nie bezwładnie niczym postrzelony, a twarz schował w poduszce i tak już został.

Płakał. Znowu. To było żalosne, ale przychodziło mu to z taką łatwością. Właściwie nie czuł się na siłach, aby zrobić cokolwiek innego. Nie wiedział, ile czasu minęło, odkąd pierwszy raz przebudził się w łóżku, w willi Ahigi Ledgera, ale rodzice musieli już go szukać. Zaalarmować służby i sąsiadów. Pewnie wyobrażali sobie najgorsze z możliwych scenariuszy, a on był tutaj – leżał na satynowej pościeli w ekskluzywnym pokoju hotelowym z własną łazienką, w której miał wannę z hydromasażem.

Zupełnie jakby trafił do raju. Uśmiechnął się krzywo na tę myśl i uniósł trochę, aby spojrzeć na przeciwległą ścianę. Znajdowały się tam dodatkowe drzwi. Nie prowadziły jednak na korytarz, a do drugiego pokoju. Właśnie one oddzielały go od Ahigi.

Od rozmowy po przebudzenia Raphaela, nie widzieli się wcale. Nawet w samolocie nie siedzieli blisko siebie. Dopiero tutaj Cherubin zobaczył go znowu.

Ahiga powiedział mu, że od teraz ten pokój pozostaje do jego wyłącznej dyspozycji. Może tu robić, co tylko zechce. Nawet z niego uciec.

To ostatnie zdanie wypowiedział, obdarzając Raphaela uśmiechem, w którym kryły się zarówno pogarda jak i wyzwanie.

Uciec? Ale niby jak? Niby gdzie? Raphael przekręcił się na łóżku na bok i popatrzył jeszcze raz na panoramę miasta przez otwarte na oścież drzwi balkonowe. Był w miejscu, którego nie znał. Nie miał pieniędzy, ani telefonu. Co miałby zrobić, gdyby nawet udało mu się opuścić hotel obstawiony przez ludzi Ahigi? Nie umiał przecież niczego. Był zwykłym, rozpieszczonym licealistą z bogatego domu. Co niby miał zrobić, aby przetrwać? Zostać dziwką? – parsknął w myślach.

Był zamknięty w złotej klatce, a od złego smoka oddzielały go pojedyncze, drewniane drzwi.

\*\*\*

Trish od dłuższej chwili nieruchomo leżała na hotelowym, pojedynczym łóżku. W drugą stronę niż powinna, bo ze stopami położonymi na poduszce. W tej jednak chwili było jej dokładnie wszystko jedno. Niemożliwie bolała ją głowa i czuła, jakby do jej powiek przywiązano dwa ciężkie, a do tego rozgrzane do czerwoności kowadła. Próbowwała je przymknąć i chociaż na chwilę usnąć, ale niecichnące odgłosy kłótni zza drzwi skutecznie jej to uniemożliwiały.

W drugim, połączonym z tym, pokoju kłócili się rodzice Pocahontas oraz Jennifer Norton. Matka Ryana miała pretensje do całego świata, tylko oczywiście nie do siebie. Rodzice dziewczyny mówili znacznie ciszej, ale nie ustępowali przy swoim. I bronili swojej córki. Kobieta obarczała winą ich oraz Trish za całą tą chorą sytuację, w której się znaleźli. Dziwiła się, jak mogli nie sprawdzić, z kim dokładnie dziewczyna jedzie w tą idiotyczną podróż.

Trish westchnęła i przewróciła oczami, gdy głos kobiety przeszedł z krzyku w szloch. Rozumiała, że matka Ryana wiele w ostatnim czasie przeszła, zaczynając od tragicznej śmierci męża, mogłaby jednak mieć też jakieś pretensje do siebie. W końcu zgodziła się na to, aby jej syn także pojechał do Teksasu.

W trakcie kłótni z jej ust na temat Atsah, którego widziała w życiu jeden raz, padły słowa takie jak: degenerat, monstrum, czy potwór. A, no i jeszcze „społeczny

odpad”. To Pocahontas spodobało się najbardziej. Ciekawe, co kobieta powiedziała, gdyby знаła prawdę.

A prawda była taka, że Atsah siedział teraz na posterunku i pewnie niedługo usłyszy zarzuty za coś, czego nie zrobił. Zaś według jej definicji „społecznym odpadem” był jej własny syn.

Trish, która odtąd tępo gapiła się na drzwi, za którymi odbywała się sprzeczka dorosłych, przekręciła się na łóżku, by spojrzeć na Ryana. Odkąd znaleźli się w tym pokoju, chłopak nawet nie ruszył się o centymetr. Nic też nie powiedział. Siedział pod ścianą z podciągniętymi kolanami i nisko spuszczoną głową. Gapił się tępo w lakierowaną podłogę.

Prawdę o tym, co stało się tamtej nocy, znali tylko oni oraz Santa Boy. To on zasugerował Trish, aby nikomu więcej o tym nie mówili. Tak będzie najlepiej, jeśli chcą zachować tajemnicę, więc nawet Sasza nie został uświadomiony. Jak stwierdził Santa, jego kochanek był „dobrym chłopcem”, który w końcu by pękł i poszedł na policję, by powiedzieć prawdę. Lepiej więc było, aby jej nie poznał, tak jak i reszta.

Rodzice Trish i matka Ryana, którzy zostali powiadomieni o zajściu przez policję i w trybie ekspresowym przyjechali do Austin, byli więc przekonani, że podczas imprezy w domu basisty High Death nowy kolega ich dzieci wdał się w bójkę na noże z jeszcze niezidentyfikowanym mężczyzną, w wyniku której ten został śmiertelnie ranny.

I tak miało zostać. Tak było lepiej. Trish do końca nie była pewna, co kierowało Atsah. Dlaczego postanowił poświęcić się dla chłopaka, którego nawet nie zdążył zbyt dobrze poznać? Ona była najlepszą przyjaciółką Ryana, a nie była pewna, czy zdobyłaby się dla niego na coś takiego. Nie, właściwie znała odpowiedź. Oczywiście, że nie.

Jednak ona ceniła swoje życie. Miała przed sobą mnóstwo perspektyw. Wiedziała, że mogła jeszcze dużo z niego wycisnąć. Miała też czystą kartę. Tak samo jak Ryan. Przed nimi drzwi stały otworem. Atsah zaś był już naznaczony przez życie. Siedział już w poprawczaku za bardzo podobną sprawę. Może więc uważał swoje życie za mniej wartościowe? I pozbawione perspektyw? Dlatego postanowił je



poświęcić dla Ryana, w którym może się zadurzył? Ale przecież znali się za krótko, aby to mogła być miłość. Tak przynajmniej wydawało się Pocahontas.

Trish znowu uniosła powieki i spojrzała na skulonego w kącie chłopaka. Powinieneś być mu wdzięczny do końca życia, pomyślała. I powinieneś to życie, które od niego otrzymałeś, wykorzystać jak najlepiej.

– Nie spierdol tego, Ryan – powiedziała na tyle głośno, by jej słowa dotarły do chłopaka. – Proszę cię, nie spierdol tego.

W jej głosie dało się wyczuć desperację. Ona też będzie musiała mierzyć się z tą tajemnicą przez całe życie. Wątpliwości i poczucie winy nigdy jej nie opuszczą. Atsah zapewne pójdzie do więzienia, bo to był dla niego już kolejny raz. Ryan, którego kartoteka była zupełnie czysta, mógłby dostać jedynie poprawczak. To uwierało ją najbardziej.

Ryan też musiał być tego świadomy, a jednak już się nie buntował. Godził się na wszystko milczeniem. Ilekroć ta myśl pojawiała się w głowie dziewczyny, Pocahontas starała się ją odgonić, ale ona nie ustępowała. Wciąż i wciąż wracała. Myśl, że jej przyjaciel był tchórzem. Współczuła mu, ale też trochę nim gardziła.

– Nie spierdol tego – powtórzyła, ponownie spoglądając na Ryana.

## Rozdział 2

Jak co dzień rano Josh ukrył się w małym ogrodzie na tyłach domu. Budynek znajdował się w górnej części dzielnicy, która rozciągała się na jednym wzgórzu otaczających Rio de Janeiro. Wyżej była już tylko dżungla. Dom jako jeden z nielicznych tutaj miał głębokie, betonowe fundamenty, które chroniły go przed obsunięciem się wraz z ziemią, co często się tu zdarzało. Woda i elektryczność podciągnięte były nielegalnymi ciągami. Mieli nawet Internet, chociaż bardzo powolny i o niskiej przepustowości.

Kucnął między krzaczkami pomidorów i przyglądał się ich liściom. Poraziła je jakaś choroba objawiająca się ciemnymi plamami. Josh westchnął i zaczął ręcznie usuwać chwasty z grządek. Zrzucał je na stertę, której później użyje do zrobienia kompostu. Opiekę nad ogrodem powierzyła mu jedna z kobiet pracujących w domu Dacnisa, a on był jej za to wdzięczny. Odnajdywał wśród zieleni jakąś namiastkę ukojenia.

Zesztywniał, gdy usłyszał ryk silnika. Nie mógł tego widzieć z tyłów domu, ale nie musiał, aby wiedzieć, że na betonowym placu zaparkował zielony jeep, a wysiadł z niego Falco. Mira już musiała kończyć się ubierać i za chwilę pełna energii wybiegnie przed dom. Tylko Falco jej ojciec darzył na tyle dużym zaufaniem, aby pozwolić mu eskortować dziewczynkę do szkoły w centrum Rio.

Josh rano zaszywał się w ogrodzie albo innej części domu, aby nie trafić na mężczyznę. Nie chciał go widzieć, ani słyszeć jego głosu. Sceny z tamtego dnia wciąż nawiedziły go podczas snu. Widział, jak Maria bez życia, przeszyta trzema kulami, pada w ramiona Mnicha, brudząc jego szatę purpurą. Słyszał, jakby to było wczoraj, lament i płacz pozostałych kobiet.

Gdy pojawił się Falco, Josh leżał dźgnięty w kałuży brudnej wody. Pierwszym, co zobaczył, były stopy ozute w japonki. Mnicha i dwie kobiety, którym mieli wspólnie z nim dać opiekę i bezpieczeństwo, zabił człowiek ze stopami ozutymi w japonki! I w szortach. Ubrany był, jakby wyszedł tylko na chwilę z domu do sklepu,

aby kupić olej do frytek albo papierosy. Jakby to nic nie znaczyło. Ich życie nic nie znaczyło!

Josh odrzucił kolejny pęk trawy i objął się ramionami, nie bacząc na to, że ma brudne ręce. Nienawidził tego, jaki był słaby. Powinien się zemścić, ale wtedy straciłby miejsce, które stało się dla niego namiastką domu. Dla niego, nieznanego nigdy takiego miejsca, to było bardzo wiele. I bardzo nie chciał tego stracić, więc każdego ranka ukrywał się na tyłach posiadłości, aby nie spotkać tego mężczyzny. Nie wiedział, czy byłby zdolny nie dać upustu swojej nienawiści. Nie chciał też widzieć wzroku tego człowieka i słyszeć słów przez niego wypowiedzanych. Były przepelnione pogardą.

– Też się ukrywasz?

Momentalnie wstał, wręcz podskoczył, gdy usłyszał za sobą nieznanego mu głos. Obejrzał się gotowy na najgorszą ewentualność. Tutaj można było się spodziewać wszystkiego. Ujrzał mężczyznę z wczoraj. Znow zrobił na nim straszne wrażenie. Przypominał mu Jacka.

– Jesteś niemową? – parsknął Johnny, przyglądając się chłopakowi.

Chociaż nie byli do siebie podobni, od razu skojarzył mu się z Cherubinem. Może przez te resztki dziecięcości, które jeszcze można było dojrzeć w budowie jego ciała, twarzy i spojrzeniu. Mógł być najwyżej parę lat starszy od Raphaela. Był też wyższy i lepiej zbudowany. To ciało zahartowała praca i życie, ocenił Johnny, prześlizgując się wzrokiem po sylwetce chłopaka. Te jego piegi obsypujące każdy centymetr skóry były niesamowite.

Dzieciak nic nie odpowiedział. W piegowatych dłoniach ścisnął rękawiczki do pracy w ogrodzie i uparcie wgapił się w ziemię. Długie, rude włosy opadły mu na czoło. Johnny uśmiechnął się pod nosem. Tyle było z ich podobieństwa. Cherubinowi morda się nie zamykała.

– Jack.

Gdy wypowiedział to imię, chłopak od razu się ożywił. Uniósł głowę i spojrzał na Johnny'ego wielkimi, rozszerzonymi teraz oczami o tęczęwkach w kolorze głębokiego błękitu. Planował go wypytać, ale ta mina powiedziała mu już

wystarczająco wiele. Chyba nawet nie chciał tego słuchać. Miał już dość smutnych historii.

– Więc Jack Hetfield – powtórzył. – Dacnis kazał mi się go pozbyć.

– Po co mi to mówisz? – spytał chłodno Josh, napinając się.

Ta wiadomość wcale go nie zaskoczyła. Wiedział, że osoba Jacka przysparza Dacnisowi problemów i już wcześniej polecił Falco pozbycie się go. Mimo to i tak coś go ścisnęło w sercu.

Johnny wzruszył ramionami. Sam nie wiedział. Dzieciak może próbował to ukrywać, może zwalczyć, ale nie wychodziło mu to zbyt dobrze. Z tym uczuciem. Jego mina, gdy Johnny wypowiedział to imię, mówiła wszystko.

– Pomyślałem, że może spróbujesz jakoś wykorzystać to, że ci powiedziałem. Mogę trochę poczekać. Dać wam fory.

Josh zmarszczył brwi. Nie rozumiał.

– Co?

– Powinniście jak najszybciej opuścić Brazylię – rzucił Johnny. – Tak będzie najbezpieczniej.

– Och.

Josh znów opuścił głowę, pozwalając swoim włosom swobodnie opaść po bokach jego twarzy. Zacisnął mocno wargi, czując wzbierające w nim poczucie bezsilności.

– Jack jest zły – powiedział jednak. Już przecież sobie postanowił. – Sam sobie wybrał taki los. To już nie jest moja sprawa.

– Nie wiem za dużo, ale opuściłeś go przez to, co robi? I teraz jesteś tutaj? I tutaj to ci nie przeszkadza?

Johnny kiwnął głową, wskazując na dom. Odgłosy dochodzące od frontowej strony wskazywały, że oprócz zielonego jeepa na betonowy placyku zaparkowało więcej samochodów. Josh wiedział, co to znaczy. Wyszli z nich wytatuowani mężczyźni z pistoletami wciśniętymi za paski spodni. Weszli do domu swojego szefa, aby jak co rano omówić aktualną sytuację w dzielnicach nędzy przez nich zarządzanych.

Josh podążył tam wzrokiem i po chwili wahania ruszył przez ogród. Gdy okrążył dom, jego oczom ukazała się mrożąca krew w żyłach scena, która jednak nie było tu niczym nadzwyczajnym. Po prostu ktoś, kto nie chciał podporządkować się panującym się zasadom, dostawał teraz lekcję pokory.

Dacnis obserwował wszystko z odległości kilku kroków z nieporuszoną, a nawet trochę znużoną miną. Wykrzywił usta w niezadowolonym grymasie, gdy trochę krwi spadło mu na jego biały trampek.

Gdy dojrzał stojącego przy ścianie Josha, zaraz przyjaźnie się uśmiechnął i jakby zupełnie zapomniał o katowanym mężczyźnie. Nie poświęcał mu już ani odrobiny uwagi.

– Coś się stało? – spytał. – Mira już pojechała do szkoły.

Josh pokręcił przecząco głową.

Nie potrzebował słów Johnny'ego. Wiedział to sam od początku, ale starał się wyprzeć to z umysłu, ponieważ jak każdy potrzebował jakiegoś miejsca, gdzie mógł czuć się bezpiecznie. Dlatego wmawiał sobie, że Dacnis jest inny. Miał przecież córkę, którą traktował jak największy skarb. Był pogodny i zabawny. Josh nigdy nie widział, aby używał wobec kogokolwiek przemocy.

Jednak to, że teraz tylko się przyglądał, nie ściągało z niego odpowiedzialności. Ponieważ to on wydał rozkaz. Na nim ciążyła też odpowiedzialność za śmierć Mnicha i kobiet. Może z jego ust nie padł dokładnie taki rozkaz, ale Falco robił tylko to, co uważał za dobre. Dobre dla gangu, któremu przewodził właśnie Dacnis. On był tylko pistoletem, a dłonią pociągającą za spust był właśnie ten kolorowy niczym rajski ptak mężczyzna.

Josh to wiedział. Tylko nie chciał znów zostać sam.

– Nic – odparł cicho i wszedł do domu.

Już postanowił.

– Jack – szepnął, zaciskając pięści.

Chciał go zobaczyć.

Nie mógł opuścić domu teraz. Za dużo osób się wokół niego kręciło. Od razu zostałyby zauważony. Miał czas, aby się spakować. Potrzebował też pieniędzy. Ludzie

Dacnisa mieli go za nikogo, gardzili nim. Nie zwracali na niego uwagi, traktując jak mebel, co teraz mu sprzyjało. Jednemu z nich wyciągnął portfel z porzuconej na krześle bluzy. Z drugim znacznie bardziej ryzykował, ale też się udało. Przepisnął się między tłoczącymi się w korytarzu gangsterami, niepostrzeżenie wyciągnął portfel z tylnej kieszeni spodni mężczyzny, który szczególnie nie przypadł mu do gustu. Dużo krzyczał.

Pod wieczór, gdy posiadłość opustoszała, ponownie udał się do ogrodu. Nim zaczął gołymi rękami rozgrzebywać na boki ziemię, rozglądał się wokoło, aby upewnić się, czy na pewno nikt go nie obserwuje. Po chwili kopania wyciągnął małą, drewnianą kasetkę. W jej wnętrzu leżała broń, którą udało mu się ukraść jednemu z gangsterów, gdy spał na podłodze po jednej z suto zakrapianych imprez. Ją też schował do plecaka.

Zamiast iść w dół, do miasta, ruszył w przeciwnym kierunku. Uznał, że najlepiej będzie przez jakiś czas ukryć się w dżungli i przez nią przedrzeć się w rejony zarządzane przez Barbosę, gdzie miał nadzieję znaleźć Jacka. Był zbyt łatwy do rozpoznania, aby ryzykować przedzieranie się przez fawelę. Dopadliby go błyskawicznie i pewnie zrobili z nim to samo, co z tym mężczyzną z dzisiejszego poranka. A Dacnis wszystkiemu przyglądałby się bez słowa, z tym ledwo zauważalnym uśmiechem na ustach. Jak przystało na króla tego świata.

\*\*\*

W telewizji były też nieliczne kanały nadające w języku angielskim. Jednak emitowali w nich programy, które w Stanach można było zobaczyć dziesięć lat temu. Nie potrafił się w nich zatopić na tyle, by przestać choć na chwilę myśleć.

A myślał, że zwariuje. Próbował skonstruować jakiś plan, ale wszystko, co przychodziło mu do głowy i budziło nadzieję, zaraz potem blakło. „To się nie uda” pulsowało w jego myślach niczym czerwona lampka alarmowa. Wieczorem jednak był już na tyle zdesperowany, że chwycił się najbardziej absurdałnego pomysłu. Rozbił szklaną butelkę po wodzie i odłamkiem postanowił rozszarpać sobie nadgarstek. Na tyle mocno i głęboko, aby musieli zawieźć go do szpitala. Liczył, że tam uda mu się przekazać personelowi, w jakiej jest sytuacji i że zawiadomią policję.

Bał się, cholernie się bał. Jeszcze niedawno był normalnym, znużonym codziennością dzieciakiem. Ale jaki miał wybór? Usiadł na podłodze i podciągnął rękaw bluzki. Chwycił za szyjkę rozbitej butelki. Wahał się. Nie chciał tego robić. Nie lubił bólu.

Odetchnął z ulgą, gdy rozległ się głośny brzdęk, który wybił go z tego stanu skupienia. Jakby transu. Odłożył butelkę i spojrzał na ścianę, która dzieliła go od pokoju Ahigi. To stamtąd doszedł do jego uszu tamten odgłos. Coś zostało stłuczone. Zaraz usłyszał, jak gangster, który dotąd warował jak posłuszny pies na korytarzu, chciał otworzyć drzwi do pokoju swojego szefa. Musiało nie spodobać się to Ahidze, bo do uszu Cherubina doszła stłumiona przez ścianę wiązanka soczystych przekleństw.

Na podstawie stłumionych przez ścianę odgłosów z korytarza nie mógł tego stwierdzić z całą pewnością, ale człowiek Ahigi chyba wrócił do swojego poprzedniego zajęcia, czyli warowania jak pies. Raphael nie odważyłby się otworzyć drzwi, które dzieliły go od przywódcy Banitów. Nawet nie wiedział, czy były zakluczone. Tak podstawowe pytanie przyszło mu do głowy, dopiero teraz. Był jednak ciekawy. To nie był odgłos jak przy rozbiciu butelki, czy chociażby szklanki. Rozbiło się coś znacznie większego.

Wreszcie coś odwróciło jego myśli od beznadziejnego położenia, w którym się znalazł. Poczuł w sobie nowe pokłady energii. Zawsze był ciekawski i we wszystko musiał wściubić swój nos. Często nie kończyło się to dla niego dobrze. I zawsze dużo gadał. Najpierw gadał, a potem myślał. Co zwykle też nie kończyło się dla niego dobrze. Dlatego teraz wyszedł na balkon i przelazł przez barierkę oddzielającą ich tarasy. Nie była wysoka, więc nie stanowiło to dla niego trudności, ale samo to, że przelazł nad nią, znajdując się dwadzieścia pięter nad poziomem ziemi i tak przyprawiło go o jeszcze szybsze bicie serca. Był podekscytowany tym, co zamierzał zaraz zrobić.

Gdy znalazł się już balkonie Ahigi, przykucnął, aby nie można go było zobaczyć przez okno i w takiej, skulonej pozycji podpełzł do otwartych drzwi balkonowych. Nim wychylił się na tyle, by móc zajrzeć do wnętrza pokoju, przełknął jeszcze ślinę. Chyba oszalał! Ten człowiek go porwał!

Gdzieś tam jednak w środku tkwiło w nim przekonanie, że Ahiga nic mu nie zrobi.

To, co ujrzał, całkowicie go zszokowało. Podejrzewał, że Ahiga w przyływie wściekłości albo przez nadmiar alkoholu rozbił szybę w barku. Mylił się. Mężczyzna leżał na podłodze wśród odłamków szkła pochodzących ze szklanego stolika, na który najpewniej upadł lub się o niego potknął. Leżał nieruchomo, przyciskając dłonie do twarzy. Cherubin nie mógł przez to zobaczyć jej wyrazu, ale mężczyzna sprawiał wrażenie zrezygnowanego.

Uznał, że chyba całkiem zwariował, ale zamiast niepostrzeżenie wrócić do siebie, wstał i wszedł do pokoju Ahigi. Nadepnął na kilka odłamków szkła, więc nawet jeśli mężczyzna go nie zobaczył, to na pewno usłyszał.

– Idź, zanim tego pożałujesz – powiedział, gdy Raphael stanął nad nim. – Wracaj do siebie.

– Nie – odparł chłopak. – Przed chwilą byłem bardzo bliski podjęcia sobie żył butelką. Wiesz, ja już żałuję. Chyba nawet tego samego co ty.

To było dzięki! I bardzo, bardzo nierozsądne. Pyskowanie Ahidze było szalenie lekkomyślne, ale Raphael miał już dość nierobienia niczego. Nie czuł się dobrze w poczuciu stagnacji. Nienawidził też samotności. Wolał nawet oberwać, niż wrócić do tej luksusowej celi, gdzie towarzyszyły mu tylko jego chore myśli.

Ahiga odsłonił twarz i spojrzał na niego. Ten wzrok jak zwykle nie zdradzał niczego. Musiał się jednak wstydzić swojej słabości, uznał Cherubin. To musiało być dla niego upokarzające.

Trwało to jeszcze chwilę, nim Ahiga wreszcie się odezwał. Z pewnością wypowiedzenie tego jednego zdania kosztowało go bardzo wiele:

– Pomóż mi wstać.

Więc Cherubin to zrobił. Dał mężczyźnie oprzeć się na swoim ramieniu, co nie było proste ani przyjemne, bo Ahiga ważył znacznie więcej. Pomógł mu dotrzeć do łóżka, na którym usiadł. Ahiga nie odezwał się ani słowem. Omijał też spojrzenie Cherubina.



Później zrobiło się jeszcze bardziej niezręcznie. Raphael stał koło łóżka, nie wiedząc, co ma teraz ze sobą zrobić. Ahiga najwyraźniej nie zamierzał mu ulżyć w rozterkach, bo nadal się nie odzywał.

– To... to ja już może pójdę. Znaczą się, wrócę do siebie – zasugerował i nawet lekko dygnął, nim odwrócił się na pięcie, aby wrócić to samą drogą, czyli przez balkon.

– Skręcisz sobie kark w najlepszym wypadku. A bardziej prawdopodobne, że zostanie z ciebie mokra plama. Użyj drzwi jak człowiek.

„Ach, czyli jednak są otwarte” – przeszło przez myśl Cherubinowi. Posłusznie więc zawrócił. Czuł wzrok Ahigi na sobie, gdy go mijał.

– Jadłeś coś dzisiaj? – padło kolejne pytanie z ust gangstera, gdy Raphael trzymał już w dłoniach klamkę.

– Nie.

– Bo?

– Bo nie wiedziałem, czy mogę.

Prawie podskoczył, podobnie jak jego serce, gdy usłyszał śmiech. Ahiga się śmiał. I nie był to śmiech przepełniony drwiną. Po prostu musiało go to szczerze rozbawić.

To był dziwny dźwięk. I dziwnie było tego słuchać.

Cherubin zdecydował się spojrzeć na mężczyznę. I dobrze, że to zrobił, bo inaczej menu hotelu w twardej oprawie trafiłoby go w głowę. Złapał je dosłownie w ostatniej chwili.

– Zamów sobie coś.

– Dobrze.

Ahiga znowu parsknął.

– Nie przyszło ci do głowy, że gdybym planował się zagłodzić, to nie trudziłbym się z zawlekaniem ciebie tutaj i nie płaciłbym tych końskich kwot za pokój dla ciebie?

– No...

– Nie kończ. – Ahiga machnął dłonią, widząc minę dzieciaka. – I zamów dwie porcje, bo ja też dzisiaj jeszcze nic nie jadłem.

Cherubin uznał, że lepiej będzie nie pytać, co ma zamówić. Wybrał po prostu jeden z gotowych, tradycyjnych zestawów obiadowych, bo nazwy regionalnych dań nie za wiele mu mówiły.

Czuł się dziwnie, jedząc przyniesiony przez służbę posiłek razem z Ahigą. Chociaż odłamki szkła zostały uprzątnięte, to nadal w pokoju brakowało stolika. Chciał ulokować się ze swoją rozłożoną porcją na podłodze, ale Ahiga powiedział, aby przestał się wydurniać. Siedzieli więc razem na łóżku.

Nie rozmawiali ze sobą. Mężczyzna zdawał się zupełnie zapomnieć o istnieniu chłopaka i skupił się na oglądaniu programu informacyjnego. Cherubin poczułby się znacznie lepiej, gdyby także mógł rozproszyć czymś myśli, ale ni w ząb nie rozumiał, co mówiła piękna, hojnie obdarzona przez naturę prezydentka.

– Nie znasz portugalskiego, co? – podłapał Ahiga w pewnym momencie.

– Nie.

– A inny język obcy?

– Nie bardzo – przyznał Cherubin.

Ahiga pokręcił głową i rzucił coś pod nosem, co brzmiało jak „bogate, rozpuszczone dzieciaki”.

Raphael miał świadomość, że lepiej dla niego byłoby, gdyby powstrzymał język, bo mógł go stracić, ale jego charakter zwyciężył:

– Nie ja wybierałem sobie starych! – fuknął. – Wcale się nie prosiłem o bycie „bogatym dzieciakiem”. W ogóle się o to wszystko nie prosiłem! I o to teraz też!

Ahiga oderwał się od oglądania telewizji i spojrzał na chłopaka. Nie wydawał się zdenerwowany.

– I co ja mam ci na odpowiedzieć?

– Nic... chyba nic.

Cherubin zaśmiał się z sam siebie i już całkowicie zrezygnowany po prostu położył się na łóżku. Po chwili poczuł, jak materac się ugina. Ahiga położył się tuż obok. Raphael obrócił się w jego stronę i chwycił za przedramię, podciągając przy tym rękaw koszuli.

– To syndrom sztokholmski? – parsknął cicho.

– A co ja ci takiego zrobiłem?

„Ty właściwie nic” – odpowiedział mu w myślach Cherubin. „To ja sobie zrobiłem”.

Spojrzał na odsłonięte przedramię mężczyzny ozdobione tatuażem złotozielonego gada. Johnny miał dokładnie taki sam.